

# 1



– Że kto? – zapytał mężczyzna zajmujący moje nowe mieszkanie.

– Tres Navarre – wyjaśniłem.

Przycisnąłem ponownie umowę najmu do zewnętrznych drzwi z moskitierą, żeby mógł ją sobie przeczytać. Na ganku małej przybudówki musiało być ze czterdzieści stopni. Chłodne powietrze z klimatyzowanego wnętrza broczyło przez siatkę w drzwiach i odparowywało na mojej twarzy. Z jakiegoś powodu było mi przez to jeszcze goręcej.

Mężczyzna znajdujący się w moim mieszkaniu zerknął na umowę, po czym przyjrzał mi się spod przymrużonych powiek, jakbym był jakimś dziwnym wytworem sztuki współczesnej. Przez metalową siatkę wyglądał pewnie jeszcze paskudniej niż w rzeczywistości – tęgi, koło czterdziestki, ostrzyżony na jeża, ze ściągniętymi rysami twarzy. Był nagi od pasa w górę i miał na sobie tego rodzaju spodenki z grubego poliestru, jakie noszą tylko nauczyciele WF-u.

„Mów prostymi słowami” – pomyślałem.

– Wynająłem to mieszkanie od piętnastego lipca. Pan miał się do tego czasu wyprowadzić. Dziś jest dwudziesty czwarty lipca.

Wuefista nie okazał żadnej skruchy. Obejrzał się przez ramię; w telewizji pokazywali mecz bejsbolowy i akurat wydarzyło się coś ciekawego. Spojrzał na mnie ponownie, tym razem z lekką irytacją.

– Słuchaj, dupku, powiedziałem Gary’emu, że potrzebuję chatę jeszcze na kilka tygodni – oświadczył. – Mój przelew nie przyszedł, kapujesz? Jeżeli chcesz się wprowadzić, to najwcześniej w sierpniu.

Patrzyliśmy sobie prosto w oczy. Na rosnącym obok schodów pekanie kilka tysięcy cykad wybrało akurat tę chwilę na rozpoczęcie swojego metalicznego śpiewu. Zerknąłem przez ramię na taryfiarza, który wciąż czekał przy krawężniku z włączonym taksometrem, z zamiłowaniem oddając się lekturze magazynu telewizyjnego. Spojrzałem ponownie na wuefistę i posłałem mu uśmiech – przyjazny, dyplomatyczny.

– Hm... Powiem panu, co zrobimy – zacząłem. – Jutro przyjeżdża z Kalifornii ciężarówka z moimi rzeczami. To oznacza, że musi się pan stąd wyprowadzić jeszcze dziś. Ponieważ i tak od tygodnia mieszka pan tu na mój rachunek, jestem skłonny dać panu dodatkową godzinę. Pójdę teraz po moje bagaże do taksówki, a kiedy wrócę, wpuści mnie pan do środka i zacznie się pakować.

Gdyby gość mógł jeszcze bardziej zmrużyć oczy, z pewnością by to zrobił.

– Co, do kurwy...

Odwróciłem się do niego plecami i poszedłem do taksówki. Do samolotu nie zabrałem wiele bagażu – tylko jedną walizkę z ubraniami, drugą z książkami oraz Roberta Johnsona w transporterze. Wyjąłem rzeczy z bagażnika, poprosiłem taryfiarza, żeby zaczekał, po czym ruszyłem z powrotem chodnikiem.

Pekany chrupały mi pod butami. Robert Johnson zachowywał się spokojnie; wciąż był otumaniony po traumatycznym locie.

Dom nie prezentował się o wiele korzystniej, kiedy przyjechałem mu się po raz drugi. Jak większość pozostałych olbrzymów drzemiących przy Queen Anne Street, budynek z numerem dziewięćdziesiąt miał dwie kondygnacje, dach pokryty starym, zielonym gontem, siding, z którego odłaziła farba, odsłaniając surowe drewno, i wielki przeszklony ganek uginający się pod tonami czerwonej bugenwilli. Prawa strona budynku, z której wystawał mniejszy ganek przybudówki, zsunęła się z fundamentów i opadła do tyłu. Wyglądało to tak, jakby polowa domu dostała udaru.

Wuefista otworzył przede mną drzwi. A dokładniej mówiąc, stał w nich uśmiechnięty z kijem bejsbolowym w rękach.

– Powiedziałem: „od sierpnia”, dupku – oświadczył.

Postawiłem torby i pojemnik z Robertem Johnsonem na najniższym stopniu. Wuefista uśmiechnął się w taki sposób, jakby usłyszał świński dowcip. Na jednym z jego przednich zębów widać było jakiś ciemny osad.

– Próbowałeś kiedyś zgłębnika dentystycznego? – zapytałem.

Na czole wuefisty pojawiło się kilka nowych bruzd.

– Że co...?

– Nieważne – przerwałem. – Masz jakieś kartony czy wolisz wpakować swoje rzeczy do dużych worków na śmieci? Zgaduję, że taki facet jak ty wybierze pewnie worki.

– Spierdalaj.

Uśmiechnąłem się i wszedłem po schodach.

Ganek był zbyt wąski, aby dało się tam wziąć zamach kijem bejsbolowym, więc wuefista spróbował ubość mnie nim w klatkę piersiową. Uchyliłem się, zrobiłem krok do przodu i chwyciłem go za nadgarstek.

Przy zastosowaniu odpowiedniej siły można pobudzić pracę serca, podobnie jak za pomocą resuscytacji, uciskając punkt

*nei guan* znajdujący się tuż powyżej nadgarstka. Chińskie babcie wtykają sobie we włosy długie szpile między innymi po to, żeby miały czym dźgnąć punkt *nei guan*, w razie gdyby któryś z członków rodziny dostał ataku serca. Kiedy uciśnie się to miejsce trochę mocniej, przez układ nerwowy przebiega dość nieprzyjemny ładunek elektryczny.

Wuefista poczerwieniał, a jego ściągnięta twarz rozluźniła się pod wpływem szoku. Kij zastukotał na schodach. Mężczyzna zgiał się wpół, chwytając się za rękę, a ja wepchnąłem go do środka.

Telewizor w salonie wciąż był włączony. Na ekranie komik, którego czasy świetności już dawno minęły, żłopał jasne piwo w otoczeniu pięciu czy sześciu cheerleaderek. Poza tym w pokoju znajdował się jedynie materac, w kącie sterta rzuconych ubrań i zdezelowany głęboki fotel. W kuchni na blacie zalegała góra brudnych naczyń i kartonowych opakowań po jedzeniu z fast foodów. Zapach przypominał coś pomiędzy smażonym mięsem a stęchlą wonią wilgotnych ubrań.

– Odwaliłeś kawał dobrej roboty, zarządzając to wnętrze – pochwaliłem go. – Teraz rozumiem, dlaczego...

Kiedy się odwróciłem, wuefista stał tuż za mną, a jego pięść znajdowała się piętnaście centymetrów od mojej twarzy, na której miała za moment wylądować.

Zrobiłem unik, przekręcając ciało na bok, i uderzyłem go od góry w nadgarstek. Drugą ręką wyrzuciłem go od dołu w łokieć, wyginając staw w niewłaściwą stronę. Jestem pewien, że go nie zwichniłem, ale nie wątpię, że i tak zabolalo jak diabli. Wuefista upadł na podłogę w kuchni, a ja poszedłem zwiedzić łazienkę. Szczoteczka do zębów, jeden ręcznik, najnowszy numer „Penthouse’a” na rezerwuarze. Słowem, wszystkie udogodnienia, jakich człowiek potrzebuje w domu.

Znalezienie worków na śmieci i upchnięcie do nich rzeczy wuefisty zajęło mi niecałe piętnaście minut.

– Zwichniłeś mi rękę – poskarżył się. Wciąż siedział na podłodze w kuchni, zaciskając z całych sił powieki.

Wyjąłem z gniazdka wtyczkę telewizora i wystawiłem go na zewnątrz.

– Niektórzy stosują lód przy tego rodzaju urazach – powiedziałem, wysuwając fotel za drzwi. – Według mnie skuteczniejsza jest butelka z ciepłą wodą. Trzeba ogrzać łokieć, a za dwa dni ból będzie tylko wspomnieniem.

Jeśli dobrze pamiętam, zagroził, że mnie pozwie. Zagroził mi wieloma rzeczami, ale ja przestałem go już słuchać. Dopadło mnie zmęczenie, był upał i zacząłem sobie przypominać, dlaczego przez tyle lat trzymałem się z daleka od San Antonio.

Wuefista odczuwał na tyle silny ból, że nie stawiając zbyt-  
niego oporu, pozwolił się wpakować do taksówki wraz z większością swoich rzeczy. Zapłaciłem taksjarszowi, żeby zawiózł go do jakiegoś motelu. Telewizor i fotel zostawiłem na trawniku przed domem. Wniosłem swoje rzeczy do środka i zamknąłem za sobą drzwi.

Otworzyłem transporter. Robert Johnson wypełził ze środka. Czarne futro miał z jednej strony odgniezione w przeciwnym kierunku, a jego żółte oczy były szeroko otwarte. Zachwiał się lekko, stając po dłuższej przerwie na twardym gruncie. Rozumiałem, co czuje.

Powąchał dywan i spojrzał na mnie z najwyższą pogardą.

– Rrrau – powiedział.

– Witaj w domu – odparłem.